Rok IXty. Nr. 10.



Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela piąta postu*, dnia 9. Marca 1845.

Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

Kasper i Kordula Lipdomscy.

(Dalszy ciąg.)

Jak tylko matka skończyła swą powieść, zaraz zaczął ojciec: „posłuchajcież teraz tego, co ja nie dawno czytałem,“ i zaczął opowiadać następującą czułą historyą o czynnéj miłości bliźniego.

Powieść ojca o starcu nieszczęśliwym za nieuszanowanie rodziców.

W czasie przeszłorocznéj tęgiéj zimy, kiedyście nawet dla zbytniego mrozu z izby wyjść nie mogły, pewien znaczny Pan, mający tak czułe i dobre serce, że na biedaka nie mógł spojrzeć bez politowania, spostrzegł jednego starca, nędznie ubranego biedaka, leżącego w śniegu, którego głód i zimno tak przejęły, że upadł na ziemię i tak wyrzekał: „Dobry Boże, już się dłużéj utrzymać nie mogę. Przyjdźże o śmierci! ty jesteś wypocznieniem i wybawicielką z nędzy; poślijże ją do mnie, o Boże! i zabierz mnie z téj ziemi.“ Słysząc to on czuły Pan, mocno się rozrzewnił, bo głos ten doszedł do jego serca, łzy nawet z oczu mu wycisnął. Zbliżył się więc do nieszczęśliwego, podniósł go i zaprowadził do swego mieszkania. Kazał zaraz napalić w izdebce, w któréj go osadził, dał mu jeść i rzekł: „Kochany staruszku! niech ci Bóg sam błogosławi i na zdrowie obróci ten pokarm.“ Starzec posiliwszy się i tą dobrocią rozczulony, zaczął opowiadać, wśród bolesnych westchnień, że mu już od dawna głód i zimno dokucza, a nie może znikąd żadnéj pomocy spodziewać się. Jak to? — rzekł Pan litościwy, to nie masz nikogo, któregoby twój los obchodził? — Wielmożny Panie, odpowiedział starzec łzami zalany, mam dzieci, i dobrze się mające! każde już jest na swym chlebie, ale im za długo, że tak rzekę, siedziałem na karku, zadługo mnie im Bóg chował, przeto mnie biednego starca wyrzuciły, a teraz już nie mam na téj ziemi żadnego przytułku i schronienia. — Ach zgroza! to twoje dzieci są nawet ludzkiego czucia pozbawione! to są niegodziwe dzieci! (zawołał Pan w uniesieniu), które własnego ojca wypędziły. Ich okrucieństwo przechodzi żarłoczne zwierzęta. Gdzie one są? Doniosę je zwierzchności i żądać będę, aby je przykładnie ukarała. — Ach! nie czyńże Pan tego, rzekł starzec z bolesném westchnieniem; a gdy to wymó-

wił, strumień łez rzewnych spływał po jego wklęsłych i bladych licach, cała zaś jego postać zdawała się wskazywać, że go rozpacz przejmuje, w któréj rzekł daléj: „Ach! mnie się dawniéj bardzo dobrze powodziło, lecz jak mnie dzisiaj dzieci moje wypchnęły, tak ja niegdyś postąpiłem z mym ojcem kochanym! wyrzuciłem go z domu i nieczułém okiem na jego nędzę patrzałem. Przetoć mnie przeklęctwo Boskie dotknęło, i to przeklęctwo spoczęło na mojéj siwéj głowie. Chętnie, ach chętnie chcę je ponosić, aby tylko ta kara boska skończyła się w tém życiu! aby tylko mnie jeszcze Pan Bóg nie karał w wieczności, gdy się stawię przed tronem Jego na zdanie rachunku z postępków całego życia.“ — To zeznał starzec wśród jęków żałosnych, które mu już więcéj mówić nie dały. Koniec jego życia nadszedł nie zadługo; ostatnie jego słowa na téj ziemi te były: „daruj i przebacz, o Boże! daruj mnie i dzieciom moim!“

Wśród téj powieści i matka i dzieci się rozpłakały. Nie mogąc się utulić, na przemian to ojcu, to matce ręce całując, prawie z jękiem oświadczały i przyrzekały, że o tym smutnym wypadku nie zapomną do śmierci, i że nigdy nie dopuszczą się téj zbrodni, takie przeklęctwo Boga ściągającéj, że owszem ciągle, zawsze i wszędzie, tylko szacunek, miłość i przywiązanie ku kochanym rodzicom słowy i uczynkiem okazywać będą; że starać się będą całe życie pozostać dobremi, poczciwemi, pracowitemi, kochającemi Boga, rodziców i bliźnich.

Tymto właśnie sposobem Kasper i Kordula Lipdomscy chowali i kształcili swe dzieci, nauką i dobrym przykładem, a one wzrastały na ich pociechę i sławę.

Anzelm, najstarszy syn, był żywy, popędliwy i pełen ognia. Miał dowcip i rozum, tylko wydawał się być nieco płochym i lekkomyślnym, zresztą był jednak chętny i bardzo posłuszny. Jako student był zawsze chwalony od nauczycielów, ile razy zapytali się Rodzice o jego pilność i zachowanie się.

Córka zaś Klara była miłego i bardzo przyjemnego ułożenia, prawdziwy obraz matki. Nie czekała ona rozkazu ojca lub matki, lecz ich pomyślenie prawie zgadywała. Nic dla niéj nie było trudnego, skoro ojciec, lub matka, co rozkazali; owszem największą to jéj sprawiało uciechę i uszczęśliwienie, gdy w czém Rodziców wyręczyć mogła. Dzień cały prawie bez odetchnienia krzątała się po domu, uprzedzając samo skinienie matki; za domem zaś zawsze cicha, skromna, jak najpiękniéj ułożona, a kto ją widział w kościele modlącą się, mniemał, że patrzy na modlącego się anioła. Szczególniejsze zaś okazywała politowanie nad ubogimi i z jakiegokolwiek względu nieszczęśliwymi, tak dalece, że ją powszechnie nie zwano inaczéj, tylko: dobra Klara.

Konrad, najmłodszy z rodzeństwa, równie był miłego i spokojnego ułożenia jak Klara. Był to wyśmienity chłopczyk, chętny, pilny i bardzo usłużny. A że w swojém braniu się miał coś ujmującego, przeto był jakby kochankiem Rodziców. — Kasper tedy i Kordula błagali Boga codziennie, aby ich dzieci zachował od zepsucia, żeby i w starości równą z nich mieli pociechę, jak dotąd.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gospodarstwo domowe.

Kawa z żyta.

Rozmowa między Stachową, Michałową, gościnym i jego żoną.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ niemal razem wymówiła Stachowa z Michałową, wchodząc do gościńca. — „Na wieki!“ odpowiedział gościny; „witajcież moje gosposie; już nam też tu kot zdechnie, rzadzcy goście; no! jakiéjż nalać? pestkowéj, czy też karólkowéj; a może lubicie anyżek?“ — „O! was się zawsze figle trzymają, miły Mikołaju,“ rzekła Stachowa, „my tu na wódkę nie przyszły.“ — „Tylko?“ przerwał gościny, „nu, nu, już ja to teraz miarkuję, po coście przyszły; wam się kawy zachciało; co? nie prawda?“ — „My jak my,“ ozwała się Michałowa, „ale nasze chłopy, to nam zmiru nie dali, tylko, żeby iść do was, abyście nas kawy z żyta gotować nauczyli.“ — „Bodajście wy,“ rozśmiał się gościny, „zawsze na tych chłopów zwalacie, a radeście same; pewniebyście z półgarnca naraz wydoiły?“ — „Hm!“ na to Stachowa, „gdyby było, czemu i nie!“ — „Dobrze!“ zawołał Mikołaj; „matka! zgrzéj tam ów garnyszek, niech też spróbują, bo jak im zasmakuje, to łatwiéj pojmą naukę.“ — Żona gościnego zabrała się do zagrzania kawy, a on tymczasem taką gosposiom podawał naukę: „Co wam powiem, to ja tego nie mam ze siebie, Pan mnie nauczył, bo też to jedyny szlachcic, istny ojciec, Panie świeć nad duszą jego! ale słuchajcie, wprzódy wam przeczytam, bo to jest drukowane w téj gazecie, co to ją Przewodnikiem rolniczo-przemysłowym nazywają; ale wy tego pewnie nie znacie; koniec końcem, oto tu tak stoi: Używać żyta zamiast kawy, jest, dla własności jego rozpalającéj, a najbardziéj dla cząstek flegmistych, które żyto w sobie zawiera, ogólnie biorąc, zdrowiu szkodliwe, szczególnie zaś działa drażliwie na nerwy w oczach władające. Kto się zaś do tego surogatu kawy przyzwyczai, (który wreszcie przyjemnego jest smaku) ten nie łatwo zdoła się obejść bez niego; ażeby zaś swą szkodliwość żyto utraciło, podajemy następujący sposób przysposobienia go:

„Tylko jare żyto jest na kawę zdatne; piérwéj należy je starannie wybrać, potém do naczynia wsypać i świeżą wodą nalać, przemyć i przez dwadzieścia cztery godzin, poruszając je często, namoczyć; wodę zaś w przeciągu tego czasu cztery do sześciu razy odmieniać. Im się częściéj wodę świeżą zmienia, tém piękniejsze się żyto okaże. Po upłynieniu czterdziestu ośmiu godzin, przystawia się żyto z wodą do ognia, i tak je długo gotuje, dopóki ziarnka nie pękają; poczém mnóstwo flegmistych części z niego się oddziela. W tym czasie potrzeba być uważnym, ażeby warzenie nie zbyt się przedłużyło; skoro się spostrzeże, że ziarnka pękają, należy wodę odlać i przewarzone żyto wsypać do przygotowanego, zimną wodą napełnionego, naczynia, i tu się je na czysto płócze. Jeżeli jest tak dużo żyta, że przez jego ilość woda zimna zletnieje, wtedy jeszcze raz wodę zlać, i świeżéj nalać potrzeba; tym sposobem zupełnie się ostudzi. Nareszcie zlewa się tę wodę i wyciska się z lekka żyto, ażeby niepotrzebna woda uszła; potém rozkłada się je na serwecie lub ścierce, i tak się długo na świeżém powietrzu (jednak zawsze w cieniu) trzyma, dopóki zupełnie nie jest suche. Dla dokładniejszego ususzenia, kładzie

się w rurę angielskiéj kuchni, miernie ogrzanéj; a gdy już zupełnie jest suche, przechowuje się w worku do dalszego użytku. Żyto takim sposobem, jak kawa, w piecyku się upala, tylko nieco więcéj opalić je potrzeba. Paląc, wypada uważać, aby nie zbyt wiele naraz sypać do piecyka, inaczéj nierówno się upali; wreszcie należy częściéj piecykiem potrząsać, ażeby się równo żyto przepalało.

„Kawa z żyta zrobiona nie filtruje się, jak zazwyczaj się to z kawą robi, lecz się od razu gotuje, a potém dopiéro przecedza. Z jednego łóta upalonego żyta będzie pięć filiżanek kawy żytniéj.

„Kto chce, aby taka kawa szczególnie przyjemnego nabrała smaku, powinien jéj od razu dużo kazać narobić, przez czas niejaki na fusach zostawić, i tylko tyle brać, ile na raz potrzeba; atoli trzeba, żeby należycie była wywarzoną (ekstraktowaną).

„Napomniemy tu tylko jeszcze o złych skutkach, wynikających z używania żytniéj kawy bez jéj przegotowania. Flegma w życie zawarta, szczególną ma władzę drażliwą na oczy i sprawia zapalenie, opierające się wszelkim zaradczym środkom lekarskim. Oprócz tego sprawia uderzenie krwi ku głowie. Jeżeli się zaś flegma przez gotowanie z żyta usunie, kawa taka, nie tylko, że jest pożywną, ale nadto jest przyjemna i zdrowa."

Tyle tu, moje kobietki, stoi o téj żytniéj kawie; zrozumiałyście też to wszystko? Pewnie nie? Oto się bierze jare, nie zimowe żyto, moczy się przez dwadzieścia cztery godzin i często miesza, i w tym czasie ze sześć razy woda się odmienia. Potém po czterdziestu ośmiu godzinach przystawia się to żyto wodą nalane do ognia i tak długo gotuje, aż nie popęka; co gdy nastąpi, odcedza się i płócze w zimnéj wodzie, aż się ostudzi. Wreszcie wyciska się dobrze i suszy na wolném powietrzu, ale nie na słońcu, tylko w cieni. Żeby zaś dobrze wyschło, można je jeszcze i na przypiecek po chlebie wsypać, i cała tajemnica; tylko brać, palić, mleć, gotować i pić." — „Wejcie też to," rzekła Stachowa, „że to tak trzeba tę jarkę gotować; ktoby nie wiedział, toby nie potrafił." — „Hale," przytwierdziła Michałowa. — Gdy sobie tak i sak jeszcze gadają, gościna przygotowała kawę, zastawiła na stół i zaprosiła na nią przybyłe kumoszki, mówiąc: „Teraz, moje piękne, po téj nauce pokrzepcie się i smakujcie, czy też mój stary nauczyciel dobrze was pouczał, a nie łgał, bo u niego to nie kupić." — „O! co ty to bajesz, moja Jagusiu!" ozwał się Mikołaj, „przeciebym sobie nie żartował z kumoszków, dyć widziały, żem im z drukowanego czytał. Nasz Panby mi też lada głupstwa do czytania nie dał. Ale! ale! kawyś dała, moja kobieto, a przegryzki nic, podaj jeno ten rządek kołacza, trzeba przecie należycie uczęstować moje uczennice."

Kawa smakowała im wyśmienicie, a odchodząc i dziękując gościnemu Stachowa i Michałowa i za naukę i za poczesne, zapytały się: „jak się to robi syrop z korbali?" — Na to rzekł Mikołaj do Stachowéj: „a przecie wasz czytuje Szkółkę niedzielną od samego początku, to was już był dawno powinien nauczyć tego. Jak do domu przyjdziecie, to mu powiédzcie, niech wam przeczyta ze Szkółki niedzielnéj roku drugiego Nr. 30., na stronie 119, tam jest opisano, jak to sobie z korbalami postąpić potrzeba." — „Nu, Bóg wam zapłać," odpowiedziała gosposia, i pożegnawszy się osobno z gościną, ucieszone i zadowolnione wróciły do domów swoich i zaraz zabrały się do przysposobienia jarki na kawę.